

V OGÓLNOPOLSKI
KONKURS LITERACKI

Opowiedz
mi swoją
bajkę

V
EDYCJA

ZBIÓR BAJEK
OSÓB NAGRODZONYCH
W 2024 ROKU



ORGANIZATOR



PARTNERZY



PATRONAT MEDIALNY



Spis treści:

I KATEGORIA - młodzież w wieku 14 – 17 lat	3
Milena Bołbot	
„O tym, jak lis stał się przebiegły i zły”	4
Julia Kaczmarek	
„O przyjaźni Lisa z Zajcem i Jeżem”	8
Daniil Kozak	
„Podróż do krainy chmur”	12
Sara Gayane Dziarnowska	
„O palącym Greku”	16
II KATEGORIA - dorośli	20
Beata Matyjaszczuk	
„Jak się myszka w podróż wybierała”	21
Rafał Orłowski	
„Złoty rycerz”	26
Agnieszka Rautman-Szczepańska	
„Tajemnica łąki”	31
Agnieszka Oknińska	
„O sportowych bucikach i tym, co najważniejsze”	35
Małgorzata Stepko	
„Krótka bajeczka dla dzieci, które czasami boją się zasnąć”	39
Iwonna Buczkowska	
„W kurniku”	43
Anna Karolak	
„Bajka, o księżniczce Hani, która piekła ciasta”	46
Kinga Hopaluk-Pukaluk	
„Chorągiewki”	49

I KATEGORIA

młodzież w wieku 14 – 17 lat

Milena Bołbot

„O tym, jak lis stał się przebiegły i zły”

I miejsce

I KATEGORIA

młodzież w wieku 14 – 17 lat

Najlepszą przyjaciółką Lisa była Kura. Kura mieszkała w kurniku, na pobliskim gospodarstwie, a Lis w głębi lasu. Każdej nocy wymykał się ze swojej nory i pędził przez gąszcz puszczy na spotkanie z przyjaciółką. Kura nie mogła opuścić kurnika, więc Lis wkradał się do niego wspinając się na płot i zeskakując na podwórze gospodarstwa.

Tej nocy, kiedy Lis wychylił nos z nory i zauważył, że pada ulewny deszcz i ostry wicher szarpie drzewami, zawahał się, lecz nie mogąc doczekać się rozmowy z przyjaciółką dzielnie popędził przez las.

Gdy dotarł pod płot był już całkiem przemoknięty i zziębnięty. Wskoczył na ogrodzenie, po czym zeskoczył na ziemię i otrzepał mokre futro. Błoto chlupało mu pod łapami, kiedy wchodził do kurnika przez drewnianą klapkę.

– Kuro, jesteś tu? – zawołał, kiedy znalazł się w środku.

– Jestem, jestem Lisie! – odpowiedziała Kura zbiegając po kładce. – Tylko musimy być cicho, wszyscy już śpią.

Lis pokiwał głową.

– To opowiadaj, co u ciebie? – zapytał, machając rudą kitą.

Tu Kura zaczęła plotkować o jej gadatliwych koleżankach z kurnika i o zbyt małej ilości jaj w tym sezonie. Razem śmiali się z głupkowatej i strachliwej myszy i zachwycali nad śpiącymi, żółciutkimi, puchatymi kurczętami. Kura opowiadała także o ojcu i jego ośmioletnim synu, który nigdy się nie uśmiechał – właścicielach tego gospodarstwa, mieszkających w chatce naprzeciwko kurnika.

– Wiesz, ostatnio myślałam nad ucieczką. – przyznała Kura po dłuższej chwili – Smutno mi, chciałabym się stąd wydostać i zwiedzić ten świat.

Lis zamyślił się na chwilę.

– Chyba wiem jak mogę pomóc! – oznajmił w końcu – Przeniosę cię przez płot!

Kura, mimo tego, że bała się wysokości, zgodziła się, gdyż ufała swojemu przyjacielowi. Kiedy oboje wyszli na zewnątrz, okazało się, że na niebie rozszalała się burza. Błyskawice z grzmotem przecinały czarne jak smoła niebo, a wicher łamał gałęzie starych dębów.

– Jesteś pewna że chcesz to zrobić dzisiaj? – wykrzyczał Lis, próbując przebić się głosem przez ryk burzy.

– Jutro chyba stchórzę.

Lis więc skinął głową i ostrożnie pochwycił Kurę za kark, tak, by jej nie skrzywdzić, po czym napiął mięśnie i wdrapał się na płot.

Wtedy rozległ się trzask otwieranych drzwi i w progu chatki stanął wysoki mężczyzna, a obok niego, jego syn.

Lis odwrócił się gwałtownie w tamtą stronę i zadrżał ze strachu.

Ojciec zobaczył lisa z kurą w pysku, stojącego na płocie z pyskiem zwieszonym w pełnym złości geście. Woda ściekała zwierzęciu z oblepiającego żebra futra, a oczy świeciły w mroku nocy.

– Zobacz synu. – powiedział ojciec do syna – Lisy to okrutne zwierzęta. Są złe i chytre. Popatrz na tego. Popatrz jak wygląda. Jak nocny potwór.

Usłyszały to owce, które zaraz pobudziły pozostałe zwierzęta gospodarskie i powtórzyły im słowa gospodarza, a zwierzęta gospodarskie powtórzyły komarom, które poleciały wszystko rozpowiedzieć, by każdy wiedział, jakie lisy są naprawdę.

Chłopiec jednak, patrząc na lisa stojącego na płocie, widział przerażone zwierzę, o smutnym i zagubionym, lecz pełnym blasku spojrzeniu, zwieszającego pysk pod ciężarem kury, której pomagał.

– On nie jest potworem. Jest dobry, ale smutny. – odparł syn.

Na te słowa ojciec oburzył się i zaprowadził chłopca do domu.

Lis słysząc słowa chłopca zdecydował, że musi się z nim zaprzyjaźnić. Chłopiec był pierwszym człowiekiem, który nazwał go dobrym.

Tak więc Lis zeskoczył z płotu i postawił Kurę na ziemi.

– Dziękuję ci, Lisie. – powiedziała Kura. – Czy zaprowadziłbyś mnie do swojej norki, bym mogła przenocować?

Lis zaprowadził Kurę do jego nory i razem zasnęli w ciepłe pośłania.

Następnego wieczora wrócił do gospodarstwa. Chciał poznać chłopca. Lis nie wiedział jednak, że ojciec chłopca rozstawił przy kurniku pułapki na lisy. Niczego nieświadomy, wspiął się na płot i zeskoczył, po czym zaczął biec, lecz nagle wpadł do zamaskowanej klatki wkopanej w ziemię, której wyjście natychmiast się zatrzasnęło.

Lis próbował się wydostać, lecz jego próby nic nie dawały. W końcu poddał się i z przygnębieniem położył pyszczek na łapkach. Wtedy z hukiem otworzyły się drzwi i w progu stanął mężczyzna.

– I tu cię mam. – powiedział. – Już więcej nie zjesz mojej kury.

– Ale ja jej nie zjadłem! – zapiszczał przerażony Lis, lecz gospodarz zdawał się nie rozumieć jego słów.

Ciemna sylwetka mężczyzny zaczęła zbliżać się do Lisa, kiedy nagle rozległ się przyciszony, zmęczony głosik:

– Tatusiu, czy to ten lisek?

Mężczyzna odwrócił się do syna.

– Jaki lisek?

– Ten co wczoraj pomagał jednej z naszej kur.

– Pomagał? Chyba przygotowywał obiad.

Chłopiec pokręcił głową.

– Nie. Pomagał jej. Jest bardzo smutny, wiesz? Wypuść go, proszę. – poprosił chłopiec.

– Dobrze, wypuszczę go, ale obyśmy już nigdy go nie ujrzeli.

Mężczyzna wypuścił więc Lisa, który najszybciej jak tylko potrafił pognał z powrotem do nory. Dotarłszy pod wejście wślizgnął się do dziury, licząc na widok Kury, która pocieszyłaby go i przy której zasnąłby spokojnie.

Kury jednak nie było. Usłyszała od komarów, że lisy są złe i chytre. Pomyślała więc, że jak tylko Lis wróci, na pewno ją zje i że był to jego plan od samego początku. Uciekła więc, przerażona przebiegłością swojego przyjaciela i swoim losem.

Lis czekał na Kurę, a czekał tak długo aż w końcu nadeszła zima. Nieustanne burczenie w brzuchu zmusiło go do wyjścia na śnieg i mróz. Był jednak zbyt słaby i smutny, by coś upolować.

Zasnął więc na śniegu, wyczerpany wędrówką.

W takim stanie znalazł go chłopiec, który wybrał się na spacer po zimowym lesie. Wziął go na ręce i zaniósł do domu, do chatki z gospodarstwem. Chłopiec obawiał się, że ojciec będzie chciał wyrzucić liska, lecz mimo tego zabrał go do swojej sypialni. Przygotował liskowi legowisko z koca i poduszek i położył go w nim wygodnie. Kiedy zwierzę obudziło się, chłopiec nakarmił je i zaopiekował się nim. Oba zaprzyjaźnili się, spali nawet razem w łóżku. Chłopiec zawsze przytulał Lisa, przez co zwierzę nie było smutne. Lis opowiedział chłopcu swoją historię i przyznał, że nigdy nie spodziewał się, że odnajdzie najlepszego przyjaciela w człowieku.

Jednak wszystkie zwierzęta nadal mówiły o złym i przebiegłym lisie, aż w końcu nawet ludzie zaczęli określać tak te rude stworzenia i teraz za każdym razem, gdy Lis przechodził obok innych zwierząt, te patrzyły na niego spod zmrużonych oczu, szepcząc, że jest zły.

Lis jednak nie przejmował się opinią innych zwierząt, gdyż najważniejsze dla niego było zdanie chłopca, jego najlepszego przyjaciela, a chłopiec nie uważał go za złego.

Pewnego wieczora ojciec chłopca zobaczył go śpiącego, wtulonego w rude futro lisa. I już chciał wytargać zwierzę z rąk syna, lecz wtedy zobaczył coś, czego nigdy nie spodziewał się ujrzeć.

Jego syn po raz pierwszy w życiu się uśmiechał.

Julia Kaczmarek

„O przyjaźni Lisa z Zającem i Jeżem”

II miejsce

I KATEGORIA

młodzież w wieku 14 – 17 lat

Niedaleko miasta jest przepiękny las, pełen kwiatów i śpiewających ptaków. Żyje tam mnóstwo zwierząt. Niedźwiedzie, borsuki, lisy, ptaki, a także jeże. Jednak nie każde z tych zwierząt wie, co się w tym lesie wydarzyło.

Otóż żył tam sobie Jeż Janek. Tam się urodził i wychowywał. Gdy dorósł, sam szukał sobie jedzenia i miejsca do spania, ale niech to was nie zmyli, nie był samotny. Miał oddanego przyjaciela Zająca Zbysia. Każdego dnia się razem bawili i odkrywali nowe sekrety lasu. Oboje byli szczęśliwi, mimo tego, że nie mieli innych przyjaciół. Cieszyli się swoim towarzystwem i uwielbiali spędzać ze sobą czas.

Pewnego razu, gdy spokojnie spacerowali, zobaczyli coś dziwnego. Zza drzewa wystawał długi, pomarańczowy ogon. Nie wiedzieli kto to, więc wystraszony Jeż od razu zwinął się w kulkę.

— Hej, Jasiu, rozumiem, że się boisz, ale jesteśmy tutaj razem. Może to nic groźnego, a może nawet nowy przyjaciel. — Zając delikatnie się uśmiechał. Chciał poklepać po plecach przyjaciela, ale nadziałby się na kolce, więc zrezygnował z tego pomysłu.

Jeż powoli stanął na nogach i niepewnie popatrzył na towarzysza.

— Jak myślisz, kto to jest?

— Nie wiem, ale jest trochę podobny do mnie — odpowiedział z dziecięcą ekscytacją Zając.

Janek tak nie uważał, ale nie zdążył mu odpowiedzieć, bo nieznany wyszedł zza drzewa. Był większy nawet od Zbysia, więc wystraszył jeszcze bardziej Jeża, który mając na uwadze słowa przyjaciela, nie zwinął się w kulkę.

— Kim jesteś? — spytał szybko Jeż.

— Jestem lisem. Mam na imię Ludwik.

— Skąd jesteś?

— Z daleka.

— Z jak daleka? — zaciekał się Zbysiu. W przeciwieństwie do Janka był podekscytowany nową znajomością.

— Oj, z bardzo daleka. Przebyłem długą drogę i zwiedziłem wiele miejsc. Poznałem bardzo dużo innych zwierząt, ale tutaj nie mam jeszcze żadnych przyjaciół.

— Może chcesz zaprzyjaźnić się z nami? — zaproponował ochoczo Zając.

— Z przyjemnością — odrzekł Lis, co nie ucieszyło Janka.

Spędzili cały tamten dzień razem. Pokazali nowemu przyjacielowi polanę i jezioro.

Przez cały czas Zając Zbysiu podskakiwał radośnie, był niezwykle uradowany nową znajomością. Na koniec obiecali sobie, że następnego dnia spotkają się ponownie. Jak powiedzieli, tak zrobili i od tamtej pory widywali się codziennie.

Jakiś czas później Jeża Janka obudził wschód słońca. Zaraz po nim przykicał do niego radosny

Zając Zbysiu i obaj udali się do Lisa Ludwika. Tego dnia postanowili iść popływać.

Janek nie był zadowolony, ponieważ nie przepadał za wodą.

Gdy byli już na plaży, spotkali tam łabędzie. Janek uważał je za piękne, ale troszkę się ich bał, więc zawsze je omijał. Lis Ludwik zdawał się nie zwracać na nie uwagi. W końcu, gdy już wszyscy troje byli w wodzie, miło się razem bawili. Do czasu, aż Lis nie zobaczył gniazda łabędzi.

— Ale będzie zabawa — powiedział tajemniczo i podpłynął do gniazda. Chwycił prędko jajka i uciekł najszybciej jak potrafił.

Jeż był przerażony. Bał się gniewu łabędzi, a także tego, że go złapią. Nigdy wcześniej tak szybko nie płynął. Chciał jak najszybciej znaleźć się na brzegu, a gdy wreszcie to zrobił, od razu zwinął się w kulkę. Siedział tak przez dłuższy czas. Słyszał płacz łabędzi oraz że niektóre próbują gonić złodzieja. Czuł się źle. Nie chciał ich okradać, a teraz czuł się współwinny. W końcu słońce zaszło i Janek mógł odejść znad jeziora.

W lesie spotkał się z Zajcem Zbysiem i Lisem Ludwikiem.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał Janek.

— Dla zabawy. Gdybyś widział, jak mnie goniły! — Śmiał się Lis. — A poza tym jajecznicą jest przepyszna!

— Ale ukradłeś jajka łabędom! — Jeż prawie rozplakał się na wspomnienie zrozpaczonej łabędzicy.

— Oj, daj spokój to tylko ptaki. — Te słowa sprawiły tylko, że Janek zaczął łkać.

— Dobra, dobra. Już więcej tak nie zrobię — obiecał Lis.

Faktycznie tak było. Przez kilka dni spokojnie spędzali czas we trójkę. Oczywiście unikali jeziora i łabędzi, ale za to bawili się w berka na polanie.

Kiedys po całym dniu wspólnej zabawy Lis Ludwik zaproponował przyjaciółom kolację. Ci ochoczo się zgodzili. Poszli do ciemnego lasu. Powoli wchodzili głębiej, aż w końcu nie wiedzieli, gdzie są. Wtedy Lis pokazał im górę kamieni.

— Tutaj jest nasza kolacja. Chodźcie, pobawimy się. — Radośnie machał ogonem.

— Co chcesz zrobić?

— Znaleźć jaszczurki do jedzenia.

— Ale my nie jemy jaszczurek — powiedział Janek.

— Tak właściwie nie jemy innych zwierząt — dodał Zbysiu.

— Oj, to wam nie zaszkodzi, chodźcie, będzie zabawa — ponaglał ich Ludwik.

Zając już za nim szedł, ale Janek się sprzeciwił.

— Nie — powiedział twardo. — Ja nigdzie nie idę. Nie będę krzywdzić innych zwierząt. Nie namówisz mnie na to.

— To w takim razie tu zostań, a ja pójdę ze Zbysiem — odburknął.

Zając zatrzymał się.

— Ja też nie chcę iść.

— Dobra, to ja pójdę sam. Nie idźcie za mną, ale jutro nawet do mnie nie przychodźcie. Nie chcę się już z wami spotykać.

I rozeszli się. Nie spotkali się więcej. Oczywiście, że Zbysiowi i Jankowi było przykro. Tęsknili za wspólnymi zabawami na polanie, ale wiedzieli, że przyjaźń z Lisem nie była dla nich dobra. Pozwolili mu odejść i być sobą. Jakiś czas później poznali Żabę Żanetę. Nie zaprzyjaźnili się z nią tak bardzo, jak z Lisem Ludwikiem. Nie widywali się codziennie, ale lubili ze sobą pływać i uczyć się od siebie o lesie i otaczającym ich świecie.

Kiedy Żaneta usłyszała o ich historii, powiedziała:

— Bo to jest najważniejsze, żeby nie zmieniać nikogo na siłę i wiedzieć, kiedy trzeba zakończyć złe dla nas relacje.

Daniil Kozak

„Podróż do krainy chmur”

III miejsce

I KATEGORIA

młodzież w wieku 14 – 17 lat

W małym miasteczku mieszkała dziewczynka o imieniu Monika. Była znana ze swojej dobroci i miłości do przyrody. Jednak ostatnio pogoda ją zasmucała: deszcze nie ustawały, zalewając ulice i pola. Woda niszczyła domy, plony ginęły, a życie stawało się coraz trudniejsze. Mimo to Monika nie traciła nadziei — lubiła spacerować w deszczu z parasolką, którą nazywała swoim magicznym talizmanem. Pewnego dnia, kiedy deszcz był wyjątkowo silny, Monika ponownie wybrała się na spacer. Szła mokrymi ulicami, przyglądając się kroplom deszczu, które uderzały o jej parasolkę. Nagle stało się coś niezwykłego: jej parasolka zaczęła unosić się w górę, a Monika, ku swojemu zdziwieniu i radości, wzniosła się w niebo.

Monika znalazła się w niezwykłym miejscu — w krainie chmur. Wokół wszystko było zrobione z miękkich, puszystych chmur. Były tak miękkie, że chciało się na nich leżeć wiecznie. Dziewczynka rozglądała się i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wszystkie chmury świeciły różnymi odcieniami bieli, różu i błękitu, tworząc bajkowy krajobraz.

Nagle przed nią pojawiły się dwa przyjazne stworzenia. Jedno było puszyste i okrągłe, przypominające kłębiastą chmurę, a drugie — świeciło jasnym słonecznym światłem.

— Cześć! — powiedziało puszyste stworzenie. — Nazywam się Kłębiasta Chmurka.

— A ja jestem Słoneczny Zajączek, — dodało świecące stworzenie.

Monika uśmiechnęła się i przedstawiła. Od razu poczuła, że może zaufać swoim nowym przyjaciółom. Opowiedzieli jej o swojej krainie, o tym, jak wszystko tutaj działa. Ale wkrótce ich głosy stały się smutne.

— Mamy tu duże problemy, — powiedziała Kłębiasta Chmurka. — Nasze chmury zaczynają tracić swoją jasność i lekkość.

— Dlaczego tak się dzieje? — zapytała Monika. Słoneczny Zajączek westchnął i odpowiedział: — Wszystko przez to, że zaczęliśmy się kłócić i zazdrościć sobie nawzajem. Harmonia zniknęła i teraz coraz więcej chmur staje się szarych i ciężkich.

Monika uważnie wysłuchiwała swoich nowych przyjaciół. Zrozumiała, że przyczyną ciągłych deszczy na Ziemi są problemy krainy chmur. Jej serce wypełniło się współczuciem i postanowiła, że musi pomóc.

— Chcę pomóc wam przywrócić pokój i harmonię, — powiedziała stanowczo.

Kłębiasta Chmurka i Słoneczny Zajączek spojrzeli na nią z nadzieją.

— Cieszymy się, że chcesz nam pomóc, Moniko, — powiedział Słoneczny Zajączek. — Ale to nie będzie łatwe.

— Jestem gotowa, — odpowiedziała Monika z pewnością.

Monika, Kłębiasta Chmurka i Słoneczny Zajączek wyruszyli w podróż po krainie chmur.

Postanowili znaleźć każdego mieszkańca i porozmawiać z nimi o tym, co się stało i jak można

przywrócić harmonię.

Pierwszą spotkali Mglistą Chmurkę, która wyglądała bardzo smutno.

— Dlaczego jesteś taka smutna? — zapytała Monika.

— Zazdrość Tęczowej Chmurce, — przyznała Mglista Chmurka. — Zawsze jest taka jasna i piękna, a ja zawsze jestem szara.

Monika zrozumiała, że zazdrość Mglisty Chmurki wywołuje kłótnie i sprawia, że staje się jeszcze bardziej szara. Wyjaśniła Mglistej Chmurce, że każda chmurka ma swoją piękno i rolę w tym świecie i że ważne jest, aby cenić siebie takim, jakim się jest.

Następnie spotkali Burzową Chmurkę, która wyglądała złośliwie i gniewnie.

— Dlaczego jesteś taka zła? — zapytała Monika.

— Wszyscy mnie się boją i unikają, — odpowiedziała Burzowa Chmurka. — Przez to czuję się jeszcze gorzej. Monika zrozumiała, że samotność Burzowej Chmurki wywołuje jej złość. Wyjaśniła Burzowej Chmurce, że musi spróbować się zmienić i pokazać innym, że może być przyjazna. Monika zebrała wszystkich mieszkańców chmur na wielkim zebraniu. Wiedziała, że ważne jest, aby pokazać im, do czego prowadzą ich kłótnie i zazdrość.

— Spójrzcie w dół, — powiedziała Monika i usunęła chmury spod nóg, tworząc przezroczyste okno. Mieszkańcy chmur spojrzeli w dół i zobaczyli Ziemię. Zobaczyli powodzie, zniszczone domy, ludzi i zwierzęta.

— Widzicie, co się dzieje? — zapytała Monika. — Wasze kłótnie i zazdrość powodują cierpienie nie tylko wam, ale i wszystkim na Ziemi. Musimy przywrócić harmonię.

Mieszkańcy krainy chmur zaczęli rozumieć, że ich zachowanie wpływa na innych. Poczuli się winni i chcieli naprawić swoje błędy.

Kłębiasta Chmurka i Słoneczny Zajączek pierwsi przeprosili siebie nawzajem.

— Przepraszam, — powiedziała Kłębiasta Chmurka. — Nie chciałem, aby nasze kłótnie wyrządziły tyle szkód.

— I ty mnie przepraszaj, — odpowiedział Słoneczny Zajączek. — Możemy to zrobić lepiej.

Zainspirowani ich przykładem, inne chmurne stworzenia również zaczęły się godzić i przebaczać sobie nawzajem. Mglista Chmurka przestała zazdrościć Tęczowej Chmurce, a Burzowa Chmurka starała się być bardziej przyjazna.

Z każdym przeprosinami i pojednaniem chmury znowu stawały się jasne i lekkie. Mieszkańcy krainy chmur zaczęli dzielić się radością i wspierać siebie nawzajem.

Deszcze na Ziemi stopniowo ustały, a przyroda zaczęła się regenerować. Ludzie i zwierzęta mogli znów żyć spokojnie, bez strachu przed powodzią.

Mieszkańcy krainy chmur dziękowali Monice za jej mądrość i pomoc w przywróceniu pokoju

i harmonii. Kłębiasta Chmurka podarowała jej mały chmurowy amulet, który miał przypominać jej o przygodach i przyjaciołach.

Zbierając się do powrotu, Monika podniosła swoją magiczną parasolkę. Słoneczny Zajączek oświetlał jej drogę, a Kłębiasta Chmurka trzymała ją za rękę. Monika delikatnie opadła na Ziemię, czując lekkość i radość.

Wróciła do domu, gdzie czekali na nią zaniepokojeni rodzice i przyjaciele. Nie mogli uwierzyć własnym uszom, kiedy Monika opowiedziała im o swojej niezwykłej przygodzie.

Sara Gayane Dziarnowska

„O palącym Greku”

wyróżnienie

I KATEGORIA

młodzież w wieku 14 – 17 lat

Opowiem wam bajkę,
Jak Grek palił fajkę.
Mówiła mu sowa,
Żeby fajkę schował,
Bo zdrowie utraci
I to nie popłaci.
Lecz Grek jej tłumaczył,
Bo w necie zobaczył,
Że to nieszkodliwe,
Choć nieco chrypliwe.
Przedstawiał dowody,
Długie korowody
Wszelkich argumentów,
Najlepszych docentów,
Bystrych tiktokerów,
Sławnych youtuberów,
Jak to można palić,
By tezę ocalić.
Że to nietoksyczne,
Bo elektroniczne,
Dymu prawie nie ma
I to nie jest ściema,
Że bez filtra dawniej,
A teraz bezpieczniej.

1 W UE największy procent palaczy jest w Grecji – ok. 38%

Sowa mu tłumaczy,
Że to głos krętaczy,
Bo to mutagenne
I kancerogenne,
A palenie szkodzi,
Co życie dowodzi.

Palenie wzbronione,
Trzeba brać tę stronę,
Bo po „inhalacji”
Spadki saturacji.
W nich jest nikotyna,
Ołów, nikiel cyna.
Mocno uzależnia
I płuca podrażnia.
Są cząstki smoliste,
Szkodliwe zaiste.
Należy je rzucić,
By życia nie skrócić.
Lecz Grek był uparty,
W dyskusji zażarty.
By słuszną potwierdzić,
I sowę rozsierzdzić,
Zaciągnął się dziarsko,
Patrząc łobuzersko.
Wapował swe płuca,
Spojrzeniem obrzucał,
Dumny z swej mądrości
I nietykalności.
Bo ruszyć się nie da,
Choć straszna to bieda.

Sowa zasmucona,
Niemocą znudzona,
Odlecieć już chciała,
Skrzydła prostowała.
Co tu mówić z człkiem,
Który pewnym Grekiem?
Wtem zobaczył mroczyki,
Malutkie proroczki.

Zatoczył się w koło,
Nie było wesoło.
Do tyłu przewrócił,
Szybko się udusił.
Nie uwierzył sowie,
Teraz spocznie w grobie.
Doktor się zarzeka,
Że dawno znał Greka.
Mówił razy tysiąc
I kazał mu przysiąc,
Że palić nie będzie,
W oparach obłądzie.
Morał z tego taki,
Że czujniejsze ptaki.
Sowa rację miała,
Bystro przestrzegała.
Nie warto jest palić,
Nikotynę chwalić,
Lecz rozsądek włączyć,
Dyskusje zakończyć.
Niech się każdy dowie –
Najważniejsze zdrowie!

II KATEGORIA

dorośli

Beata Matyjaszczuk

„Jak się myszka w podróż wybierała”

I miejsce

II KATEGORIA
dorośli

Pewna Myszka mieszkała w bardzo wygodnej norce pod korzeniami dębu. Ładnie się tam urządziła, miała małe mebelki, łóżko, szafkę z lustrem, stół z czterema krzesłami, na których siadywali goście, którzy często wpadali do norki. Myszka miała dobrze zaopatrzoną spiżarnię i wyciągała z niej różne smakołyki, kiedy ktoś przyszedł z wizytą. W sąsiedztwie mieszkał pan Kret, samotny kawaler i pan Jeż z rodziną, w gałęziach dębu osiedliła się niedawno hałaśliwa Sójka, a czasem wpadał Pająk, chociaż rzadko, bo całymi dniami wyrabiał z cienkich nitek delikatne tkaniny na zamówienie.

Pewnego wietrznego dnia jesienią Myszka zamiatała przed norką suche liście. Nagle zauważyła, że wraz z liśćmi przyfrunął kolorowy kawałek papieru. Odstawiła miotłę, podniosła kartkę i zobaczyła, że to barwna reklama biura podróży. Myszka obejrzała ją z zainteresowaniem, na kartce widniało zdjęcie piramid stojących w pięknym słońcu na piasku pustyni. Zimny wiatr dmuchnął suchymi, szarymi liśćmi i nagle Myszka zapragnęła tam być, na tym obrazku. „Egipt” przeczytała: „Przyjedź do Egiptu i zamieszkać w czterogwiazdkowym hotelu”.

Myszka odstawiła miotłę i wbiegła do norki, usiadła i uważnie obejrzała kartkę jeszcze raz.

„To tak daleko – pomyślała – ale właściwie nigdy nie wyjeżdżałam na wakacje. Listopadowy wiatr jest taki zimny, dni pochmurne i krótkie, a tam ciągle świeci słońce. Wygrzałabym łapki. No i ciekawe, co to za gwiazdki. Jadę, to postanowione!”

I zaraz zaczęła pakować walizkę. Włożyła do niej letnie sukienki i ciemne okulary, kompas i lornetkę, krem do opalania i już miała zamknąć walizkę, kiedy otworzyły się drzwi i do norki zajrzał Kret.

– Myszko, jesteś tam? – zawołał.

– Jeszcze jestem – odpowiedziała wesoło, zapinając zamek błyskawiczny czerwonej walizki.

– To dobrze – rzekł Kret i wszedł do środka – liczyłem na ciebie, bo jestem w okropnym położeniu – tu westchnął, siadł ciężko na krześle i załamał łapki na okrągłym brzuszku.

– Co się stało? – spytała Myszka.

– W łazience pękła mi rura i woda cały czas leje się do salonu, katastrofa, telefonowałem do Bobra, bo wiesz, że on jest najlepszym hydraulikiem w lesie, ale będzie mógł przyjść dopiero jutro. Myszko, czy mógłbym pomieszkać u ciebie kilka dni, aż kłopot z rurą się skończy i moje mieszkanie trochę wyschnie? – to rzekłszy westchnął tak, że Myszka po prostu nie mogła mu odmówić.

Rozpakowała walizkę. „Pojadę później, nic straconego” pomyślała.

Kret został u Myszkki przez tydzień. W końcu jednak bóbr naprawił kanalizację i Kret wrócił do

siebie, a Myszka znowu wyciągnęła walizkę, bo wcale nie zrezygnowała z podróży. Przeciwnie, miała na nią coraz większą ochotę. Więc spakowała najpotrzebniejsze rzeczy, a potem telefonicznie zarezerwowała bilet na samolot, pozamykała wszystkie szafki i zakręciła kurek od wodociągu, żeby jej nie spotkała taka przygoda, jak Kreta. Wyszła z domku, zamknęła drzwi na klucz i ruszyła drogą. Ale zanim doszła do zakrętu, na końcu ścieżki ukazał się pan Jeź, pędził, a na pyszczku miał wyraz trosk.

– Myszko – zawołał - gdzie idziesz? Moja żona zachorowała, ma wysoką gorączkę, leży w łóżku i okropnie kaszle, a dzieci dokazują i obiad nie zrobiony, a trzeba iść sprowadzić lekarza. Pomóż, Myszko! – a kiedy to mówił, aż łzy zakręciły mu się w oczach. Był naprawdę bardzo zdenerwowany.

Myszka nie myślała długo, wróciła tylko, żeby zostawić walizkę i pospieszyła do domu Jeży.

Zaopiekowała się dziećmi, zgotowała dla nich obiad w czasie, kiedy pan Jeź poszedł po doktora. Opowiedziała dzieciom bajkę, a dla Jeżowej zaparzyła herbatę z malinami.

Jeżowa była bardzo chora, lekarz zalecił, żeby leżała w łóżku przez tydzień i zażywała lekarstwa. Myszka przychodziła codziennie i pomagała Jeżowi opiekować się dziećmi i żoną. A kiedy pani Jeżowa wyzdrowiała, Myszka znów pomyślała o podróży.

Wróciła do domu i spojrzała na czerwoną walizkę.

– Jestem już właściwie gotowa – pomyślała – Ale teraz się prześpię, zmęczyłam się. Rano sprawdzę, czy niczego nie zapomniałam i w drogę.

Poranek następnego dnia był ładny, zza listopadowych ciężkich chmur wyrzało na chwilę słońce i Myszka obudziła się w dobrym humorze.

„ Dzisiaj wyruszam na wakacje” – pomyślała wygrzebując się spod kraciastej kołdry i uśmiechając się do siebie poszła do kuchni przygotować śniadanie.

Ale kiedy wyszła z domu pod drzwiami czekała Sójka.

– Witaj, Myszko, jak dobrze, że jesteś. Mam do ciebie ważną sprawę, och, taki okropny kłopot. Wybieram się za morze, na wielki zlot sójek. Spędziłabym zimę w ciepłych krajach, bo nie cierpię zimna i śniegu, a co gorsza nie zrobiłam zapasów. Ale nie mam się do czego spakować, a przecież nie polecę z pustymi piórkami! Przyszłam do ciebie pożyczyć walizkę.

Myszka westchnęła i zawahała się. Już miała powiedzieć, że nic z tego, bo ona sama leci do ciepłych krajów, ale potem pomyślała, że Sójka bardziej potrzebuje walizki, bo ptakom trudno jest zimą. Ona – Myszka ma ciepłą norkę i zapasy.

Westchnęła jeszcze raz i poszła po walizkę.

– Oddam w dobrym stanie – obiecała wesoło Sójka i już jej nie było.

A Myszka westchnęła po raz trzeci i wróciła do norki. Usiadła przy stole, wzięła do łapki ulotkę z piramidami i przyglądała jej się dłuższą chwilę. Zamarzyła o słońcu grzejącym uszy, o gorącym piasku pustyni. Na zewnątrz szare chmury zakryły niebo tak szczelnie, że w pokoju Myszki zrobiło się prawie ciemno, wstała i zapaliła stojącą lampę. Ktoś zapukał do drzwi.

– A kto to? O pan sąsiad- otworzyła Myszka Pająkowi.- Czy w jakiejś sprawie, czy z wizytą?

– Przechodziłem koło twojego mieszkania – rzekł Pająk – kiedy zaczęło tak mocno padać. Czy mogę?

– Oczywiście – odpowiedziała Myszka – Wchodź i siadaj w fotelu, zrobię dla ciebie herbatę. Pająk zdjął trzy pary mokrych kaloszy ze swoich sześciu nóg, a Myszka podreptała do spiżarni, po miód do herbaty i kruche ciasteczka.

Pająk zasiedział się u Myszki do późna i dużo rozmawiali. W końcu Myszka pokazała mu zdjęcie piramid i opowiedziała o swoich marzeniach, a także o kłopotach przyjaciół, przez które musiała zrezygnować z podróży.

– Myszko, Myszko – zaprotestował Pająk – nigdy nie trzeba rezygnować z marzeń, czasem tylko wypadnie odłożyć je na potem. Myślę, że mogę ci pomóc. Nie chcę się chwalić, ale moje tkaniny są naprawdę ładne, a oprócz tego mocne. Śmiało można powiedzieć, że jestem prawdziwym fachowcem. Znają mnie z tego w całym lesie i mam wiele zamówień, ledwie nadążam z robotą.

– To prawda – przyznała Myszka trochę rozczarowana, że Pająk zmienił temat i nie mówi już o jej podróży, tylko o sobie.

– Mam mało czasu, ale dla ciebie zawsze go znajdę. Zrobię ci supermocny, praktyczny plecak – zakończył Pająk i zatarł wszystkie sześć łapek z zadowolenia swoim pomysłem.

– Aach taak – aż zająknęła się Myszka – Naprawdę byś go zrobił?

– Pomagałaś wszystkim, a teraz ja pomogę tobie – rzekł Pająk stanowczo – A nawet zaraz biorę się do roboty. – To mówiąc dopił ostatni tyk herbaty, ucisnął Myszce łapkę i poszedł do siebie.

I co powiecie na to, minęło tylko kilka dni i Myszka dostała od niego supermocny, praktyczny plecak z wieloma kieszeniami, dobry na każdą wyprawę.

Ale Pająk nie zrobił go sam. Kiedy sporządził mocną, nieprzemakalną tkaninę powstał problem, jak uszyć plecak. Pająk umiał snuć nici, ale po igłę poszedł do pana Jeża.

– Jeżu – poprosił – potrzebuję dobrej igły, szyję plecak dla Myszki.

– Jeżeli dla Myszki, dostaniesz najmocniejszą, jaką mam. Bardzo chciałbym jej się jakoś odwdzięczyć za to, co zrobiła dla mojej rodziny. Myślę nawet, że mogę ci pomóc z szyciem.

Siedli więc we dwóch do pracy. Jeżowa przyniosła im dużą lampę stołową, przyglądała się pracy i doradzała, a małe jeżyki nawlekały igły. Wspólne szycie szło nie tylko szybciej,

ale i bardzo wesoło. A kiedy Kret dowiedział się, co robią poszedł do miasta po zamek błyskawiczny do zapięcia plecaka.

I tak to było, uszyli plecak i razem zanieśli Myszce. Aż klasnęła w łapki, tak się ucieszyła. I dobrze, że tak było, bo wszyscy uważnie patrzyli, czy się cieszy i czy jej się podoba.

Podziękowała wszystkim, zrobiła herbatę dla gości i poszła się spakować. Włożyła do plecaka potrzebne rzeczy, a drobiazgi poukładała w kieszonkach. Spojrzała z zadowoleniem na plecak, a potem zapięła zamek błyskawiczny i już była gotowa.

A kiedy Sójka przyszła oddać walizkę, bo jednak nie zdecydowała się odlecieć, nie zastała Myszki w domu. Przed norką zostały ślady łapek Sójki na białym puchu, bo właśnie spadł pierwszy śnieg, a Myszka wtedy opalała się pod palmami na leżaku. Chodziła na bosaka po gorącym piasku, jeździła też na wielbłądzie i zrobiła zdjęcie piramid. Nie dostała tylko czterech gwiazdek w hotelu, ale to nic, bo i tak nie wiedziała o co z nimi chodziło.

Jeżeli jesteście ciekawi, spytajcie mamy.

Rafał Orłowski

„Złoty rycerz”

II miejsce

II KATEGORIA
dorośli

Za górami lub za górką, tam gdzie złote słońce świeci, mieszkał w zamku razem z córką stary król Kantabar Trzeci. Żywot jego bliski końca, lat już jemu sto bez mała, więc wysłał szybko gońca, aby córka męża miała. Gdyż córeczka jedynaczka cały zamek dziedziczyła, bez ustanku król rozpacza, chcąc by z mężem w nim rządziła.

Chwycił pióro król Kantabar i pergamin zapisuje. Tak litery w zdania składał, że wnet pismo przekazuje. Goniec dekret wziął królewski, złotą wstęgą przewiązany, bardzo prostej jednak treści – posłuchajcie teraz sami.

„Ja Kantabar, król Zagórki, poszukuję tu i wszędzie, dla mej urodziwej córki – śmiałka, który mężem będzie. Aby wymaganiom sprostać i móc się nazywać zięciem, żądam by odważna postać dostarczyła jedno zdjęcie. Na tym zdjęciu potrzebuję, by prócz miecza i rycerza, był smok, który zamieszkuje miejsce gdzie ognista wieża. Bestia owa swym ogonem sieje straszne spustoszenie, ogień który z pyska zionie, zmienia w pył królewskie ziemie.

Chcąc ratować kraj, poddanych oraz córce znaleźć męża, wdrażam dziś bojowe plany – dobywajcie więc oręża. Kto pokona złego smoka, niech natychmiast zrobi zdjęcie, wszak nagroda jest wysoka – zostać w mig królewskim zięciem. Mam do fotki wymagania: smok przebity, rycerz stoi, no i bez retuszowania, bo się nie chcę niepokoić. Kto mi zdjęcie zdoła przesłać, czyli zgładzi bestię smoczą, temu oddam pół królestwa i córeczkę przeuroczą. Takie jest pragnienie moje, dekret czytał wierny goniec. Chwytaj śmiałku miecz i zbroje!

Podpisano, Król – i koniec”.

Kurier dostał prowiant syty, konia, szaty i kapelusz – przyodziany i umyty do podróży ruszył wnet już. Pożegnanie krótko trwało, król omówił cel i plany, więc podąża goniec śmiało w świat daleki i mniej znany. Konia ścisnął ostrogami, na dziedzińcu kurz zostawił, już po chwili za górami w pierwszym mieście się pojawił.

Gdy na rynku stanął prosto, wyjął zwój ze złotą wstęgą i przeczytał bardzo głośno list pisany władcy ręką. Tłum zebranych słuchał słowa, lecz odważnych... jakoś mało. Wtem zjawiła się brązowa zbroja, która kroczy śmiało. Wszak legendy powiadały, że w tym mieście zamieszkuje rycerz w brąz zakuty cały, który mieczem wymachuje.

– Jam brązowy rycerz śmiały, co pokona smoka złego, wkrótce świat usłyszy cały, kto dokonał czynu tego. A nagroda? – też kusząca! Pół królestwa i księżniczka, urokliwa jak blask słońca, powiadają, że... prześliczna.

Wsiadł brązowy rycerz na koń i zawołał – wio ogierze! Goń na wzgórze szybko – goń!, goń! – pod ognistą smoczą wieżę. Gdy warownię rycerz dostrzegł i czarnego na niej smoka, trochę bliżej do niej podszedł – była straszna i wysoka. Dobył miecza, hełm poprawił – wszystko kolor brązu miało i przed smokiem się pojawił, by do walki ruszyć śmiało.

Walka trwała pół minuty, smok ognistym swym wyziewem spiekł rycerza, zbroję, buty i co jeszcze więcej – nie wiem. Tym sposobem pierwszy śmiałek, który miał brązową zbroję, poległ niczym od zapalek – a smok siedzi w wieży swojej.

W międzyczasie goniec zmierza do drugiego miasta w dali, by przywitać tam rycerza, co w srebrzystej chodzi stali. Znów na rynku stanął prosto, wyjął zwój ze złotą wstęgą i przeczytał bardzo głośno list pisany władcy ręką. Tłum zebranych słuchał słowa, słuchał też i rycerz srebrny. W myślach już się w zamku chowa i przymila do królowny.

Trzy legendy krążą w mieście, co rycerza sławią tego, czy dowiemy się nareszcie, kto pokona smoka złego?

Już na koniu rycerz siedzi, do ognistej zmierza wieży, bystrym okiem smoka śledzi – chcąc by walki smok nie przeżył. W srebrnej dłoni, srebrnym mieczem macha w lewo, w prawo macha – mało smoka nie usiecze, chociaż ma wielkiego stracha.

Walka trwała dwie minuty, smok oddechem swym ognistym spiekł rycerza, zbroje, buty oraz miecz – cały srebrzysty. Lśniący rycerz, tym sposobem, również smoka nie pokonał – chociaż zbroje miał na sobie, w smoczym ogniu marnie skonał.

Smok okrutnie rozdrażniony nad królewskie wzleciał ziemie – zionął ogniem pałac płony: żyto, owies i jęczmień. Sadów także nie oszczędził, niszczył gruszki, śliwki, jabłka, które w smoczym ogniu wędził, że została tylko papka. Każda świnia, owca, krowa zagrożenie wielkie czuje, więc się do obory chowa – a smok okiem obserwuje. Nad oborą wolno krąży, dmuchnął z paszczy płomieniami – czy ktoś jednak uciec zdążył, chyba dobrze wiecie sami.

Król w lunecie oko trzyma, obserwując smoczą bestię, która szkody mu wyczynia – nie wiadomo co tam jeszcze. Coraz bardziej skrycie pragnie, żeby smoka ktoś pokonał – śmiałek pół królestwa zgarnie i królowną będzie żona.

Smok na wieżę już powrócił, by odpocząć po lataniu, resztki srebrnej zbroi wmłucił i zanurzył się w czekaniu.

A nasz goniec dalej zmierza, taka jego wszak robota, by przywitać wnet rycerza, który zbroje ma ze złota. Pięknie w słońcu zbroja błyszczy, żółtym mieni się kolorem, rycerz ten jest... trochę niższy, ale walczy też toporem. Znów na rynku goniec czyta dekret króla już spłowiały.

– Czy ktoś chętny?! – głośno pyta.

Tak się zgłosił rycerz mały.

Tłum zebranych nie dowierza, by ktoś wzrostu tak marnego, mógł uchodzić za rycerza – na dodatek... tak złotego. Lecz legenda stara głosi, że pokona rycerz smoka, który niezbyt się wynosi i nie patrzy też z wysoka.

Jedzie rycerz w złoto kuty, rumak również w złocie cały. Uprząż, zbroja, siodło, buty, nawet ząb

ze złota mały. Zmierza dzielnie w stronę wieży, wieża jakby coraz większa. Smok rycerza okiem mierzy – dzisiaj zbroja jakby mniejsza.

Złoty topór rycerz chwyta, chociaż mieczem też wojuje, o nic smoka się nie pyta, tylko wściekle atakuje.

Walka trzy godziny trwała, smok posiada łuski spore, w końcu postać, złota mała, cios zadała swym toporem. Pierwszy odpadł ogon smoka, później głowa odleciała, ogon z wieży spadł z wysoka – wnet i reszta poleciała. Tak rozprawił się ze smokiem, złoty rycerz – wzorzec zucha. Bestia zamrugła okiem... no i wyzionęła ducha.

Dumnie schodzi rycerz z wieży, jeszcze jedno ma zajęcie, kiedy smok w kawałkach leży musi zrobić ważne zdjęcie. Więc aparat złoty stroi – parametry ustawione. Smok przebity, rycerz stoi – „pstryk” – i zdjęcie już zrobione.

Pędzi rycerz poprzez górki, na rumaku prawie leci, tam gdzie państwo jest – Zagórki, tam gdzie król – Kantabar Trzeci. Tam gdzie też królowna czeka, która żoną będzie jego – pędzi rycerz więc z daleka. Chyba oczekują jego? Już w oddali widzi zamek, więc się coraz bardziej spieszy, w głowie czuje wielki zamęt. Czy królowna się ucieszy? Mija fosę, most zwodzony, na dziedziniec już wstępuje, choć nad wyraz jest zmęczony, zdjęcie smoka przekazuje.

Król wnikliwie bada fotę, czy przypadkiem nie fałszywa, czy zmieniona zdjęcioszopem, czy też zdjęcie prawdę skrywa. Analiza pokazała, że smok został pokonany, więc królowna w szczęściu cała już o ślubie snuje plany. Kiedy ujrzał kandydatkę, rycerzowi mina zrzedła, – Chyba wpadłem tu w pułapkę, czy na pewno to... królowna?

Rycerz robi obliczenia. Król sto lat ma już bez mała, odejmuje, coś zamienia – córka lat sześćdziesiąt miała. W całym tym dekrecie pięknym nikt nie wspomniał ani słowa, ukrywając wiek królowny, że dziewczyna nie jest młoda. Rycerz złoty, w tym momencie, szybko ściąga hełm i zbroje,

– Niech wesele jednak będzie! Ja też latka mam już swoje.

Tłum zebranych nie dowierza, że ten dzielny człowiek mały, na dodatek wzór rycerza, jest naprawdę... dosyć stary.

Wnet wesele wyprawiono, chociaż ludzie coś szeptali. Tak królowna jest już żoną, mając męża w złotej stali. Tańce były i zabawa, trzy dni z rządu i trzy noce, wszak radością lud napawa pokonane cielsko smocze. Król królestwo oddał całe, dla córeczki i rycerza, uśmiechnięty chodził stale, bo mu ktoś pokonał zwierza. Mimo, że w królewskim liście pół królestwa tylko było, oddał całe – uroczyście – żeby młodym się szczęściło.

Nowy król – Złocisław Śmiały, dobrze władał państwem swoim. Gdy mówili, że jest mały – on się tym nie niepokoił. A królowną, chociaż stara, zawsze pięknie uśmiechniętą,

odwiedzała Kantabara w dni powszednie oraz święta. Choć połączy ich przypadek, to cudownie sobie żyli – dziarska babcia, rycerz dziadek – aż im młodzi zazdrościli. Za górami, za lasami, gdzie zgładzono bestię smoczą, wciąż mieszkają – zakochani – tworząc parę przeuroczą. Opuszczamy już krainy, w których zapanował spokój, może znów je odwiedzimy – tak na przykład... w przyszłym roku.

Agnieszka Rautman-Szczepańska

„Tajemnica tąki”

III miejsce

II KATEGORIA
dorośli

Brzeg letniego nocnego nieba nad polaną był rozświetlony przez małe, mrugające punkciki. Wydawało się, jakby tuż nad grzywami traw ktoś rozsypał magiczny pył, a świat czekał na narodziny bogini. Było pięknie i migotliwie. Poświata zalegała cicho nad łąką skrywając tajemnice, a podświetlając złudzenia.

Nic nie jest bowiem takie, jakie wydaje się na pierwszy rzut oka. Często wystarczy przyjrzeć się z bliska, by rozpoznać czym jest to, na co patrzymy. Czasem jednak potrzeba lat, by odkryć prawdę, a najtrudniej jest z tą, która jest najbliżej nas.

Otóż tej ciepłej nocy czerwcowej na źdźbłach trawy siedziały robaki. Żeby nie brzmiało tak odrażająco, ludzie nazwali je pieśczośliwie robaczkami. Robaczki świętojańskie brzmi dużo ładniej, prawda? A jeszcze lepiej świetliki. Malutkie magiczne latarenki. Prawda o tych robakach jest taka, że samice owszem świecą w ciemnościach swoim odwłokiem, potrafią błyskać i wysyłać sygnały, jakby nadawały wiadomości alfabetem Morse'a, ale straciły skrzydła. Tylko samce świetlików potrafią latać. Ich partnerki zaś mogą jedynie siedzieć przy ziemi i błyszczeć.

– Tak już jest urządzony ten świat, dziewczyno – powiedziała jedna z ciotek, poprawiając parę szczątkowych skrzydeł, które zanikły od nieużywania, na wczesnym etapie ewolucji – my świecimy, oni fruują. Zawsze tak było. Faceci są uskrzydleni, ale my jesteśmy oświecone – dodała jakby na pocieszenie, ale zabrzmiało gorzko i raczej zawistnie.

Iskierka popatrzyła na ciotkę i westchnęła:

– Ale ja tak nie chcę. Czuję, że też mogłabym latać tak jak oni.

– W głowie jej się przewracało – fuknęła inna z samic – daj spokój, twoje miejsce jest przy ziemi, blisko do składania jaj.

Iskierka popatrzyła smutno i zwiesiła głowę. Tak jak inne świetliki, wychowywana była przez ciotki, które decydowały o życiu żeńskiej połowy stada. Dorastała w przeświadczeniu, że niczym nie różni się od innych świetlikowych dziewczyn, wspinała się z nimi z mozołem na źdźbła traw, uczyła się świetlnych sygnałów, polowała z nimi na ślimaki.

Jednak gdzieś na dnie duszy czuła, że coś jest nie tak. Choćby nie wiem, jak się starała jej światło nie przypominało błysków odwłoka, lecz było raczej jak subtelne migotania, emanujące z całej jej postaci, a barwa iluminacji zamiast jaskrawo zielonkawej była ciepła i delikatna. Iskierka nie do końca zdawała sobie sprawę, że jej poświata była wyjątkowa na tle robaczej gawiedzi.

Przekonała się o tym dopiero pod koniec lata, gdy wszystkie jej siostry już zwabiły swoich samców i poskładały jaja.

– Co z tobą jest nie tak? – pytały oświecone matrony, a Iskierka coraz bardziej zapadała się

w sobie, bo choć nie wiedziała co, coś musiało być jednak nie tak i to bardzo.

– Wstyd przynosisz ciotkom! Ogarnij się, dziewczyno i zaświeć odwłokiem jak trzeba, a nie tylko marzysz o niebieskich migdałach.

Iskierka wspięła się na najwyższe źdźbło, jakie znalazła w okolicy, jak najdalej od tak obcych jej, przyziemnych spraw. Chciała pobyć sama. Wtedy nad łąką na jeden krótki moment pojawiła się delikatna, różowa poświata. Cóż tak lśniło w oddali? Jakie to było niezwykle! Nigdy czegoś takiego nie widziała. A może się myliła?

Wtedy nadleciał Płomyk, chłopak jej ciotecznej siostry. Było już po godach, więc i on nie musiał się wysilać i mógł spokojnie sobie pofruwać lub, gdy miał ochotę, jak teraz, przysiąść sobie na trawie i pogadać bez zobowiązań.

– Fajne te wróżki, no nie? – zagał.

– Wróżki? – powtórzyła bezwiednie – Tak. Jak ja im zazdroszczę, są takie wolne, mogą robić, co chcą, latać, gdzie chcą i, sądząc po ich świetle, muszą być także bardzo piękne.

– Tak jak ty – zmierzył ją wzrokiem i dodał – Właściwie to jesteś do nich podobna. Iskierka popatrzyła na niego.

– Po pierwsze, zdaje się, że ty już żonkę masz i nie musisz mi tu prawić komplementów...

– No co ty, Iskra, nie to miałem na myśli – przerwał jej Płomyk.

– A po drugie – dokończyła nie zważając na jego słowa – skąd wiesz, że jestem do nich podobna? Widziałeś te Wróżki kiedyś z bliska?

– No pewnie, nie raz. One zwykle fruują tam, na skraju lasu. Też się tam czasem zapuszczam, piękne miejsce, mówię ci.

Płomyk znów obrzucił Iskierkę badawczym spojrzeniem i dodał:

– To by się nawet zgadzało. Jesteś dużo ładniejsza od świetlików, nie znosisz ślimaków, błyszczysz tak subtelnie, no i, obróć się no kochana, no tak, masz całkiem fajne skrzydła. Iskra, ty jesteś Wróżką! Ktoś cię tu nieźle oszukał, mała.

Iskierka nie mogła w to uwierzyć. Kręciła tylko głową. Nie była w stanie nic z siebie wydusić.

– Chodź! – Płomyk szturchnął osłupiałą Iskierkę, aż ta ześlizgnęła się po źdźble na ziemię. Podeszli do niewielkiej kałuży – Sama zobacz.

Ostrożnie nachyliła się nad taflą, a to, co zobaczyła wywołało w niej taki dreszcz, że aż skrzydła na jej plecach otworzyły się z trzepotem i utworzyły nad jej głową migotliwą, różową aureolę. Całe życie starała się za wszelką cenę dorównać innym, czując się przy tym zawsze niewystarczająca, gorsza. Ciotki wychowywały ją na świetlika, gdy tymczasem, ona była wróżką.

– To co, zrobimy sobie małą wycieczkę? Pora byś poznała swoją prawdziwą rodzinę – Płomyk

tak się zapalił do tego, jakby to o niego chodziło. Od dawna nic ekscytującego nie działo się w okolicy, zwłaszcza, że lato się kończyło i jego dni także były już policzone, bo samce giną przecież niedługo po godach, a on chciał jeszcze coś przeżyć.

Iskierka wreszcie dowiedziała się kim była naprawdę. Musiała jeszcze teraz uwierzyć w siebie. Płomyk już wystartował i unosił się nad łąką wołając ją po imieniu. Ona starym zwyczajem wgramoliła się z powrotem na źdźbło i kiedy stanęła na jego czubku znów zobaczyła w oddali różową poświatę. Rozwinęła skrzydła i uniosła się w górę. Całe jej ciało nagle wiedziało, jak to się robi. Wreszcie poczuła, kim jest i bycie sobą bardzo jej się spodobało.

– Jestem Wrózką! Ja błyszczę! Ja latam! I nikt nie już nie zatrzyma.

To był pierwszy lot Iskierki, ale ostatni Płomyka. Kiedy go potem wspominała, myślała zawsze, że tak naprawdę to on był iskrą, która zapaliła jej płomień. Dzięki niemu była teraz pewną siebie Wrózką.

Minął rok i łąka znów kipiła zielenią, a nocami pulsowała zielonkawym światłem świetlików, bezskrzydłych potomkin Płomyka, wabiących jego uskrzydłonych synów. Nad lasem unosiło się delikatnie migotliwe światło Wrózek. Czasami różowy punkcik zapuszczał się nad łąkę. To Iskierka sprawdzała, czy świetliki nie porwały czasem znowu jakiejś małej Wrózki, której chciały wmówić, że jest bezskrzydłym robakiem.

Agnieszka Oknińska

*„O sportowych bucikach i tym,
co najważniejsze”*

wyróżnienie

II KATEGORIA
dorośli

Michaś mieszka w bloku. Jest wysoki i biało tynkowany.

W mieszkaniu są trzy pokoje. Jeden zajmują rodzice, drugi babunia, a trzeci jest królestwem Michasia. Jest jeszcze duży przedpokój. W jego najciemniejszym kącie stoi stara, dębowa szafka. Jest bardzo ciemna, taka jak kawa. Ma złote uchwyty, które błyszczą, gdy zapala się światło. W środku szafki są dwie półki. Na wyższym znajdują się przyrządy do czyszczenia butów. Są tu pasty do butów, szczoteczki, mazaki, polerki.

Dolne piętro zajmują buty. Są tu rzemykowe sandałki w kolorze kakao, czarne, błyszczące półbuty, zielone jak trawa klapki, niebieskie pepegi, wyściełane futrem bambosze i mnóstwo innych.

To tu, w krainie bucików dzieje się ta historia.

Było późne popołudnie.

Mieszkańcy szafki drzemali. Pachniało pastą do butów. Mamusia Michasia wyczyściła dziś wszystkie buciki. Skórzane nasmarowała pastą, a potem wypolerowała. Futrzane wytrzeptała, a gumowym wyczyściła rowki.

Było cichutko. Pyłki kurzu wirowały w powietrzu. Nagle drzwi szafki otworzyły się i do środka wpadły dwa sportowe buciki. Były to ulubione buciki Michasia. Najczęściej z wszystkich mieszkańców szafki wychodziły na zewnątrz. Kiedy wracały, miały dużo do opowiadania. Tym razem także.

– Co my dziś przeżyliśmy – zaczęły.

– Co takiego? - zapytały sandałki, przysuwając się bliżej.

– Graliśmy w piłkę nożną. Były tam takie czerwone buciki. One walczyły z nami o piłkę

– odpowiedział ten z dłuższą sznurówką. – Już chciałem uderzyć w piłkę i wbić gola, kiedy zobaczyłem wściekłe spojrzenie tego czerwonego. Zanim zdążyłem dotknąć piłki, już miał ją przy sobie. Sam chciałem wbić gola. Ale przytrzymałem ją noskiem.

– Kiedy oni na siebie patrzyli – wtrącił drugi bucik – ja uderzyłem w nią mocno i wbiłem do bramki.

– Michaś tak się z tego gola cieszył, że aż pozdzierał nam podeszwy. Baliśmy się, że pogubimy sznurówki – śmiali się bracia.

Sandałki patrzyły z zazdrością

– Jakie macie ciekawe życie – westchnęły. – My chodzimy ostrożnie, omijając kałuże. Jest nam ciągle gorąco i jeszcze musimy się kłócić z tymi przemądrzałymi, białymi podkolanówkami.

Sportowi bracia spojrzeli lekceważąco.

– Teraz ma być cicho. Jesteśmy zmęczone. Idziemy spać.

Sandałkom zrobiło się przykro, ale cóż mogły zrobić. Sportowe buciki myślały tylko o sobie.

Troskliwe bambosze otuliły je ciepłym futrem i powiedziały, żeby się nie przejmować. Następnego dnia na zewnątrz wyszły zielone klapki. Wróciły zapłakane. Michaś był na basenie. Najpierw dmuchał na nie zimny wiatr i śmiał się z nich, że wyglądają jak żaby. Potem chłopiec zdjął je i wskoczył do wody, oblewając nią klapki. Była chlorowana, więc zaczęły kichać. Michaś wyszedł z wody i wsunął w nie stopy. Znow były mokre. Wrzucił je reklamówki, a kiedy był już w domu, schował je do szafki. Kichały, kaszłały i płakały. Było im przykro. Inne buciki od razu otoczyły je kołem. Niebieskie pepegi wyrzucały w górę język, żeby poprawić im humor. Zimowe kozaczki tuliły je futrem. Wszystkim było bardzo żal kłapeczek.

Wtedy do szafki wpadły ulubione buciki Michasia. Zobaczyły płaczące klapki i zaczęły się śmiać, wołając głośno „beksy!”. Potem kazały wszystkim być cicho. Buciki spojrzały po sobie, szepcząc, że sportowcy to egoiści. Myślą tylko o sobie.

Tymczasem sportowe buciki zaczęły opowiadać o tym, co przeżyły.

– Dzisiaj wdrapywałyśmy się na drzewa... – zaczął pierwszy

– Prawie spadłem w dół – dodał drugi – ale Michaś zauważył i oparł stopę o pień.

– A ja utknąłem między dwiema gałęziami. Nie mogłem oddychać. Wyrzucałem w górę sznurówki, ale nie pomagało. W końcu jedna z gałęzi się ułamała i byłem wolny – mówił pierwszy – A później poszliśmy na huśtawkę. Powietrze ochłodziło nasze podeszwy.

Inne buciki westchnęły z zazdrością. Zauważyły jednak, że po tych przygodach sportowcy wyglądają bardzo niechlujnie. Podeszwy im odpadały. Zamiast sznurówek miały tysiące poszarpanych nitek, a koło pięt były dziury.

Nazajutrz, kiedy wszystkie buciki się obudziły, zauważyły zaskoczone, że sportowcy stoją na swoim miejscu. Normalnie o tej porze już ich nie było. Wszyscy pomyśleli, że pewnie Michaś jest chory. Sportowe buciki stały i nudziły się. No i nie miały nic do opowiedzenia. Czuły się samotne, bo inne buciki zajmowały się sobą.

Przez kolejne dni nic się nie zmieniło. Buciki wciąż stały na swoim miejscu. Najwygodniejszym w szafce. Do tej pory wszyscy mieszkańcy szafki patrzyli na nie z zazdrością. Sportowe buciki rządziły. Każdy wykonywał ich polecenia. Teraz nikt nie zwracał na nie uwagi.

Czas mijał, a one wciąż stały. Sportowe buciki nie miały nic do roboty, więc robiły innym kawały. Związywały sznurówki, wyjmowały wkładki, albo podczas snu przenosiły na inne miejsce. Później, jak ktoś płakał, śmiały się do rozpuku. W końcu i to im się znudziło. Były coraz smutniejsze. Któregoś dnia z szafki zostały wyjęte czarne półbuty. Zdarzało się to rzadko, więc wszyscy niecierpliwie czekali na ich powrót. Wróciły, mówiąc, że zaczął się rok szkolny i były na pięknej akademii.

Pewnego ranka z szafki zostały wyjęte zielone klapki. To znaczyło, że Michaś miał zajęcia

na basenie. Koło południa wrócili bardzo podekscytowani.

– Słuchajcie – powiedziały – Michaś ma nowe buciki sportowe.

Mieszkańcy szafki byli zdumieni.

– Tak, tak... Takie bieluteńkie.

– Ale dlaczego nie trzyma ich w szafce? – spytały bambosze.

– Bo nie chce się z nimi rozstać. Mieszkają w jego pokoju – odparły klapki.

Stare sportowe buciki posmutniały jeszcze bardziej, ale nikt nie zwrócił uwagi. One wcześniej też nie przejmowały się, kiedy ktoś był smutny.

Niedługo po tym mamusia robiła porządki w szafce i wystawiła wszystkie buty na zewnątrz.

Wtedy sportowe buciki zobaczyły swoich następców. Dwa nowiutki, białe buty, z ciemnymi sznurówkami uśmiechające się na stopach Michasia. Stare buciki nie potrafiły ukryć łez.

Po powrocie do szafki wciąż płakały i wcale się nie odzywały.

Innym bucikom zrobiło się ich żal. Sandałki zaproponowały, że może pobawią się razem ze wszystkimi. Sportowcy spojrzeli niepewnie.

– A nie macie nam za złe? Byliśmy niemili.

– Nie – odparły inne buciki. – To, co przeżyliście było pięknego. Nie patrzcie z zazdrością na tych nowych. One też kiedyś znajdą się tutaj. I będą czuły się skrzywdzone.

– Ale my mieliśmy takie piękne chwile - zapłakał jeden ze sportowców.

– To tylko chwile. Pojawiają się i znikają. Są ważniejsze rzeczy.

– Co to takiego? – zapytały zdumione buciki sportowe.

– Wsparcie. I to, żeby nie być samemu, kiedy jest źle – odparły chórem pozostałe buty.

Czy Michaś sięgnie po swoje stare buciki? Być może. Mamusia podkleiła podeszwy i założyła nowe sznurówki. W dębowej szafce zapanował spokój. Sportowe buciki wiedzą, że mają na kogo liczyć.

Małgorzata Stepko

*„Krótka bajeczka dla dzieci,
które czasami boją się zasnąć”*

wyróżnienie

II KATEGORIA
dorośli

Kiedy wieczorem robi się ciemno i leży się w swoim łóżeczku, zdarza się czasem, że zamiast myśleć o pięknych puchatych chmurach, kolorowych jesiennych liściach, o lalkach, misiach i wesołym miasteczku, przychodzą nam do głowy inne, wcale nie aż tak miłe myśli.

Przypomina nam się, że miesiąc temu wiał straszny wiatr, który głośno kołysał gałęziami w parku. Albo, że w zeszłym roku byliśmy chorzy, bolało nas gardło i zamiast bawić się z dziećmi w przedszkolu, musieliśmy leżeć w łóżku. I nawet, gdy próbujemy przegonić te obrazki z naszej głowy, nic z tego. Wiatr z parku wydaje się być coraz groźniejszy, choroba sprzed roku boleć jeszcze bardziej.

I co robić, kiedy tak się dzieje? Jak zaczarować naszą główkę, tak, by pokazywała nam tylko to, co piękne i byśmy nie bali się wieczorem ani trochę?

Opowiem Wam o pewnym niesamowitym stworku-potworku, który połyka złe sny! Ten stworek-potworek nazywa się Gustaw. Gustaw Wielka Paszcza. Gustaw jest niebieski, ma króciutkie nóżki, niewielkie rączki i dużą, okrągłą głowę. Gdybyśmy nie byli bardzo mili, powiedzielibyśmy, że Gustaw to niebieska głowa z doczepionymi do niej rękami i nogami.

Gustaw nie jest piękny, ale przecież nikt nie oczekuje tego od stworka-potworka. Gustaw ma mądre oczka i co najważniejsze wielką paszczę. Taką, w której zniknąć mogą wszelkie złe sny.

Bo Gustaw nie je tak jak my bułek, czekolady ani jabłek. Gustaw Wielka Paszcza odżywia się wyłącznie snami i myślami.

A teraz posłuchajcie jak on to robi.

Kiedy małe dziecko leży w swoim łóżeczku i zamiast spokojnie zasnąć, męczy się i boi, woła mamę, przytula się do misia, jednym słowem, boi się zamknąć oczka, wtedy pojawia się Gustaw. Gustaw siada sobie wygodnie w kąciku (najchętniej przy oknie, taki ma zwyczaj), wyciąga z rękawka swojego granatowego swetra schowane tam nóż i widelec, i czeka na pierwszy nieprzyjemny sen małego dziecka. Oj, jak on się na niego cieszy. Mniem, mniem, w końcu coś trafi do jego paszczy. Biedny Gustaw nie je nic przez cały dzień. Kiedy świeci słońce, gdy na dworze jest jasno i pięknie, nie ma dla niego żadnych niemiłych obrazków i snów. Dopiero późnym wieczorem Gustaw może w końcu coś przekąsić i na to czeka cały dzień najbardziej.

Pewnego dnia na przykład Gustaw Wielka Paszcza zawędrował do domu małego Piotrusia. Biedny Piotruś, co zamknął oczy, to widział dno morza pełne czarnych jeżowców. Okrągłych, pełnych niebezpiecznych igiełek, które mogą wbić się w boscie stópki. I chociaż naprawdę widział jeżowce tylko jeden, jedyny raz w życiu i to z daleka, teraz nie mógł myśleć o niczym innym. Na to tylko czekał Gustaw. Gdy w głowie Piotrusia pojawił się kolejny kłujący jeżowiec, Gustaw otworzył szeroko paszczę i CAP! schrupał go w ciągu sekundy. I cap, cap, cap...

Jeden po drugim, jeżowce ze snu Piotrusia wskakiwały do paszczy Gustawa. Kiedy nie został już ani jeden, Gustaw zrobił jeszcze czarodziejską sztuczkę. Z jednego jeżowcowego kolca wyczarował igiełkę. Ale jaką! Magiczną igiełkę dla Piotrusiowej mamy. Taka igiełka potrafi uszyć najpiękniejsze dziecięce zabawki.

A Piotruś marzył i śnił. O tym, że mama uszyje mu już jutro tęczowego konika...

Następnego dnia Gustaw Wielka Paszcza jadł kolację u Zosi. Zosia leżała w swoim kolorowym łóżeczku i troszkę się bała, bo przypominał jej się tygrys z bajki. Tyle tylko, że teraz, w ciemnym pokoju, Tygrys wcale nie był taki wesolutki, jak w przeczytanej przez mamę książeczce. Zamiast pięknej pomarańczowej sierści w paski, zamiast mądrych oczek i miękkich łap, Zosia, zamykając oczka widziała tylko wielkie tygrysie zęby i ostre pazury.

Tygrysek, zamiast bawić się i skakać po dżungli, ryczał głośno i pokazywał Zosi swoje groźne kły. Oj, taki obrazek w ogóle się Zosi nie podobał. Sami przyznacie, takiego tygrysa można naprawdę się przestraszyć...

Gustaw Wielka Paszcza wyciągnął więc znów swój widelec i nóż, zawiązał białą serwetkę pod brodą i niecierpliwie czekał na zosinego zwierza. Kiedy Zosia znów wyobraziła sobie tygrysie pazury, Gustaw otworzył paszczę i CAP. Pazury zniknęły. Zosia pomyślała o wielkich kłach, CAP, Gustaw schrupał z apetytem i kły. Tygrys ryknął w Zosi śnie, CAP, brzydki dźwięk zaraz zniknął w wielkiej paszczy Gustawa. Oj, jak się Gustaw wspaniale najadł. Cały niebezpieczny tygrys zmieścił się w jego brzuszku. Mniemam. A na koniec... Jak myślicie, co zrobił Gustaw?

Oczywiście, wyczarował magiczny drobiazg dla małej Zosi. Tygryskowy pędzelek. Wiecie jaki? Pomarańczowo-czarny. Taki pędzelek potrafi wszystko namalować. Wesołą małą małą, egzotyczną palmę, okrągłego kokosa. I jutro, jak tylko Zosia wstanie, zabierze się za malowanie. To będzie najpiękniejszy obrazek dżungli, jaki kiedykolwiek widzieliście.

A wczoraj, moi drodzy, Gustaw Wielka Paszcza odwiedził rodzeństwo - Kasię i Pawełka. Kasia i Pawełek mieszkają w dużym, starym domu. Gdy jest dzień, uwielbiają się w nim bawić. Mają swój pokój, gdzie mieści się chyba ze sto zabawek, wielki korytarz, po którym mogą jeździć rowerem...Ale gdy robi się ciemno, Kasia i Pawełek czasami się boją. Bo wydaje im się, że ktoś chodzi po drewnianych schodach. Albo, że wiatr puka do ich okien. I chociaż zmęczeni całodzienną zabawą, nie mogą z tych wszystkich strachów zasnąć. Tak było i tego wieczoru.

Mimo, iż gwiazdki już zabłyśły na niebie ani Kasia, ani Piotruś nie mogli spać. Gustaw, który był tego dnia bardzo głodny, usiadł wygodnie przy okienku, wyciągnął zza rękawa sweterka widelec i nóż, i czekał niecierpliwie na pierwszego sennego stracha. Piotruś pomyślał o wielkiej, suchej gałęzi, pukającej w jego okno. CAP, Gustaw schrupał gałąź. Kasia wyobraziła

sobie czarne kalosze, wchodzące po schodach. CAP, chrup, chrup, nie ma kaloszy. Pycha! Tego wieczoru Gustaw złapał do swojej paszczy jeszcze trochę hałasującego wiatru i trzeszczące, drewniane schody. Mniemam. A na koniec. No właśnie, już dobrze wiecie!

Wyczarował dla dzieci piękny drobiazg. Malutki srebrny dzwoneczek, który potrafi zagrać najpiękniejsze melodie. Jutro, gdy Pawełek i Kasia wstaną, będą tańczyć do dźwięków dzwoneczka i śpiewać radośnie przez cały dzień!

Jeśli więc wieczorem, leżąc w łóżeczku, nie będziecie mogli zasnąć, nie martwcie się ani trochę. Wiecie już teraz, że jest na świecie prawdziwy czarodziej – Gustaw Wielka Paszcza.

Gustaw, który uwielbia zjadać wszelkie strachy i niemiłe myśli. Im groźniejsze coś Wam się wydaje, tym pełniejszy robi się brzusek Gustawa.

Od czasu do czasu wypatrujcie w okienku niebieskiej kulki. Mądrych oczek, krótkich łapek i dużej głowy. To Gustaw Wielka Paszcza, przyjaciel pięknych snów!

Tak jak w życiu, tak we śnie,
dobro Ci na pomoc mknie.
Kiedy smutek Ci doskwiera,
kiedy strach Twój sen zabiera,
będzie na tym świecie ktoś,
kto poradzi na to coś.
Czy to Gustaw Wielka Paszcza,
czy też mama, tata, brat.
Każdy jeden będzie rad,
pomóc i tuż obok być.
Bo tak nam najpiękniej żyć!

Iwonna Buczkowska

„W KURNIKU”

wyróżnienie

II KATEGORIA
dorośli

Jak codziennie w kurniku:

– Ko, ko, ko!

– Kukuryku!

Gdaczą kury:

– Ko, ko, ko!

Zniosłam jajko, jajko–ko!

Ogłoszą swe orędzie

i drzemią już na grzędzie

swoim kurzym zwyczajem.

Lecz jedna nie przestaje:

– Ko, ko, ko! – wciąż bez przerwy

i szarpie wszystkim nerwy!

To Kurka Czarnopiórka,

utrapienie podwórka:

– Ko, ko, ko! Ko, ko, ko!

Zniosłam jajko, jajko–ko!

Odezwie się Kokoszka:

– Ja także jajko zniosłam.

I cóż w tym niezwykłego?

Wszak kury są od tego!

Czarnopiórka zakrzyknie:

– To może kury zwykłe,

co znoszą jajka białe

i jak orzechy małe.

I sama przyzna pani,

takimi jajeczkami

wstyd chwalić się przed światem

i lepiej milczeć zatem.

A moje: kształtne, duże,

dorodne – jak nie kurze!

Jak gęsie albo kacze!

A pani? Przykro patrzeć!

Gdybym ja zniosła takie

mizerne i nijakie,

to dziób bym zatrzasnęła
i nawet nie gdaknęła.
Lecz moje – pani widzi!
Takich się nie powstydzi
drób żaden jak kraj długi:
to istne dzieła sztuki!
I widać doskonale,
że mam do jajek talent.
I znów: – Ko, ko! – bez przerwy.
I szarpie wszystkim nerwy!
Aż tu któregoś ranka
idzie Zosia z koszyczkiem.
W środku niesie baranka
i jajka – jakie śliczne!
Żółte, modre, czerwone –
pięknie przyozdobione!
I oto rzecz niezwykła!
Czarnopiórka zamilkła!
Pazurkami przebiera,
bo ciekawość ją zżera
i z zazdrości się zżyma.
Już nie może wytrzymać
i zdziwiona przyznaje,
że takich pięknych jajek
nie widziała, jak żyje.
– Czyje to, pyta, czyje?
– Moje – mówi Kokoszka.
– Wczoraj rano je zniosłam,
bez przechwałek i krzyku.
A dziś leżą w koszyku –
jajka jak malowane,
na w świąteczny poranek.
Lecz cóż w tym niezwykłego,
wszak kury są od tego!

Anna Karolak

*„Bajka, o księżniczce Hani,
która piekła ciasta”*

wyróżnienie

II KATEGORIA
dorośli

Za górami, za lasami, za siedmioma dolinami... a może trochę bliżej w wielkim zamku mieszkała księżniczka Hania.

Hania miała dziesięć lat, ale mimo tak młodego wieku z zaangażowaniem rządziła królestwem. Poddani byli dumni, że mają tak wspaniałą królową i za każdym razem, gdy ją widzieli, krzykali "Hip hip hura, niech żyje sto lat!"

Hania nigdy nie nosiła korony. Wolała słomkowy kapelusz, a na nogach klapki. W takim stroju przechadzała się po mieście, a mieszkańcy nie byli pewni, czy to królowa, czy tylko bardzo podobna do niej dziewczynka.

Czasami Hania stawała przed lustrem i pytała na głos: Czy w przyszłości odwiedzi mnie jakiś książę? Czy polubi moje rude warkocze i sto piętnaście piegów na nosie? I czy ja go polubię? Bo jeśli nie, to co?

I kiedy nie mogła znaleźć odpowiedzi, zamykała się w kuchni i pichciła. A musicie wiedzieć, że była doskonałą kucharką.

Piekła serniki, makowce, torty i babeczki z malinami. Piękne zapachy rozchodziły się po mieście, a poddani wdychali z zachwytem: To się naszej Hani upiekło...! Oczywiście, później każdy mieszkaniec królestwa dostawał swoją porcję, a jeśli chciał, to i dodatkę.

Pewnego dnia aromat szarlotki dotarł do pieczary groźnego smoka. Smok z wrażenia aż dostał gęsiej skórki.

- A cóż to za zapachy? - wykrzyknął. I wyruszył w drogę wiedziony słodkim aromatem. Po trzech dniach wędrówki dotarł pod zamek księżniczki. Hania akurat piekła czekoladowe muffinki, więc w całym mieście pachniało czekoladą. Smok oblizał się ochoczo, a potem na raz połknął osiemnaście muffinek łącznie z blachą do pieczenia. Odbiło mu się, ale zamiast przeprosić, oznajmił, że zamyka Hanię w wieży.

- Odtąd codziennie będziesz mi piekła ciasta, babeczki, i bezy! - zapowiedział i umieścił Hanię przy kuchennym stole.

Poddani byli przerażeni. Czytali dużo książek, więc wiedzieli, że rzadko który smok ma pokojowe zamiary. Ten z pewnością nie miał. Codziennie objadał się słodyczami, bekał i nigdy nie miał dość marcepanu. Do tego zawsze wylizywał talerze, więc mieszkańcy grodu nie mieli nawet okruszków do posmakowania. Ale najgorsze było to, że Hania codziennie płakała. Codziennie wylewała słoje ły, które wpadały do ciasta i delikatnie zmieniały jego smak. Nikt jednak nie wiedział jak pomóc ukochanej królowej.

Aż w końcu Wacek, najmłodszy syn stolarza nie wytrzymał. "Nie możemy tak zostawić Hani! Musimy ją uwolnić! Nasza królowa dbała o nas i rozpieszczała. Czas, abyśmy teraz zadbali o nią! - I zarządził wielkie pieczenie pączków. Mieszkańcy lewej strony rzeki mieli dodać

do ciasta dużo drożdży, mieszkańcy prawej - dużo cukru. Po co? Tego Wacek nie zdradził, ale z jego miny mieszkańcy wywnioskowali, że ma doskonale opracowany plan.

Po trzech dniach Wacek wszedł do zamku, pokłonił się przed smokiem i rzekł uroczystym tonem:

- Smoku, jesteś największym władcą, jaki kiedykolwiek rządził naszym królestwem. Ale my uważamy, że to wciąż za mało! Chcemy, abyś był jeszcze większy! Z tego powodu upiekliśmy dla ciebie pączki! Mnóstwo pączków! Częstuj się do woli i pamiętaj o dokładce!

Smok, który był łasy na pochlebstwa, nie zastanawiał się długo. Od razu przystąpił do degustacji i w ciągu godziny zjadł sto osiemnaście pączków.

A że był też łasuchem to w ciągu drugiej godziny zjadł kolejnych sześćdziesiąt pączków. A potem jeszcze dziesięć, bo były tak dobre i aromatyczne. W końcu znużony i obżarty położył się na dywanie i pomyślał, że teraz to on jest ogromnym tłusciutkim pączkiem.

Ale to wcale nie był żart.

Drożdże w jego brzuchu zaczęły pęcznieć i choć smok już nic nie jadł, to nadal czuł, że coś go zapełnia. Poza tym strasznie chciało mu się pić, bo zjadł za dużo cukru. Widząc to, Wacek podstawił mu pod nos beczkę z wodą. Smok nie wiedział, że była to woda gazowana. Gdy tylko zaczął pić, z jego nozdrzy wystrzeliły bąbelki. Przerażony chciał uciekać, ale nie mógł się ruszyć! Zdecydowanie przesadził z jedzeniem!

Wtedy Wacek wraz z pozostałymi braćmi związali jego wielkie łapy.

- No gagatku, teraz to naprawdę jesteś ogromny!

Jak skończyła się ta bajka? Dobrze, bo przecież w bajkach nie może być inaczej.

Wacek uwolnił Hanię, a po dziesięciu latach poprosił ją o rękę. Pokochał jej rude włosy, piegi, a nade wszystko jej dobre serce.

Hania powróciła do pieczenia ciast i znów codziennie rozpieszczała poddanych. Co oczywiste najlepsze pączki piekła dla Wacka, którego pokochała od drugiego wejrzenia. A smok...? No cóż, smok postanowił zmienić dietę. Obiecał też, że zostawi Hanię i jej poddanych w spokoju. Czy można było mu wierzyć? Oczywiście, przecież mieszkańcy czytali dużo książek i wiedzieli, że nawet zły bohater może przejść pozytywną przemianę.

Smok odzyskał więc wolność, a po czasie stał się znanym na cały świat botanikiem.

Ale to, zdaje się, zupełnie inna historia...

Kinga Hopaluk-Pukaluk

„Chorągiewki”

wyróżnienie

II KATEGORIA
dorośli

W niewielkiej wsi żył człowiek, który miał trzy córki. Wychowywał je sam, gdyż ich matka zmarła. Ojciec bardzo kochał swoje dzieci, ale był też wymagający. Dziewczynki od najmłodszych lat musiały pracować i pomagać w gospodarstwie. Nie zaniedbywały jednak nauki. Wszystkie skończyły studia i znalazły dobrą pracę. Alina była nauczycielką, Maria lekarzem, a Barbara prawnikiem. Siostry mieszały w mieście ze swoimi rodzinami, często jednak odwiedzały ojca na wsi. Dwa razy w roku cała rodzina spotykała się też na święta. Podczas jednego z takich spotkań, ojciec powiedział do wszystkich.

– Niedługo umrę, chciałbym, abyśmy ustalili kto zajmie się domem po mojej śmierci. Zależy mi, aby nie został sprzedany, gdyż jest to majątek, który był w naszej rodzinie od pokoleń. Jeśli jednak żadna z was nie chce zamieszkać lub zajmować się nim, powiedzcie mi o tym teraz. Zaczęła się ożywiona dyskusja, o tym kto może, a kto nie zająć się domem, kto chciałby, mógłby i tak dalej.

– To nie jest prosta decyzja – powiedziała najstarsza Alina – każda z nas ma swoje życie w mieście: pracę, dom, szkołę dla dzieci. Któraś z nas musiałaby zostawić wszystko i zamieszkać na wsi lub bardzo często tutaj przyjeżdżać.

– Tak – odparł ojciec – dlatego proszę was, abyście się zastanowili nad tym. Porozmawiamy za kilka miesięcy.

Rodzina rozjechała się do domów. Siostry często rozmawiały ze sobą i próbowały ustalić jakąś wersję. Trudno było podjąć jedną, konkretną decyzję. Dziwiły się też dlaczego stary, wymagający remontu budynek był tak ważny dla ojca. Nie wiedziały, że ich rodzinny dom był mieszkaniem dla Domorków.

Te niewielkie stworzenia, o cechach ludzkich, przypominające ważki, żyły w nim od kilkudziesięciu lat. Mieszkały między deskami podłogi w kuchni, w futrynach, pod schodami i przy wejściu na strych. Nie wydawały żadnych dźwięków i nie przeszkadzały domownikom. W zimie spały, jak zwierzęta, które zapadają w sen zimowy, a pozostałą część roku wyfruwały tylko w nocy lub gdy nikogo nie było w domu. O ich obecności starszy pan dowiedział się od swojej matki, tuż przed jej śmiercią, stając się kolejnym powiernikiem tajemnicy, o której wiedzieli nieliczni.

Gdy rodzina spotkała się z okazji kolejnych świąt, ojciec zapytał.

– Jaka jest wasza decyzja? Czy coś postanowiliście?

Najstarsza – Alina zaczęła pierwsza.

– Nie podjęłam żadnej decyzji, nie wiem, czy chcę mieszkać na wsi, czy w mieście.

Podobnie odpowiedziała Maria, która dodała, że ta decyzja ją przerasta. Innej odpowiedzi udzieliła Barbara.

– Ja wiem, że moje miejsce jest w mieście.

Ojciec niepokieszony brakiem decyzji, poprosił o rozmowę w tej sprawie, za kilka tygodni. W tym czasie zastanawiał się, czy powinien powiedzieć córkom o tajemnicy, którą skrywał dom. Domorki były przyjazne ale płochliwe, wiodły swoje spokojne życie nie zawadzając nikomu. Miały swoje przyzwyczajenia i swoje ukryte miejsca, które wystarczyło omijać. Zostawiały w różnych miejscach pyłek, który przypominał drobinki kurzu. Jego właściwości pomagały uspokoić złe emocje i dbały o zdrowy sen domowników. Starszy pan wiedział, że dom, który wybrały dawno temu, był dla nich bezpiecznym schronieniem.

Gdy rodzina spotkała się ponownie, Alina zaczęła mówić pierwsza.

– Nie wiem, czy jestem w stanie odpowiedzieć na pytanie, czy chcę ten dom. Nie wiem czy chcę się nim zajmować. Z drugiej strony szkoda, żebym, jako najstarsza córka tego nie odziedziczyła. Maria przemówiła po niej.

– Ten majątek powinien być dla mnie, bo mam największą rodzinę. Trudno mi jednak wyobrazić siebie – lekarza na tej wsi. W mieście jest więcej możliwości.

Ojciec westchnął głęboko i zapytał najmłodszą córkę o zdanie. Barbara odpowiedziała, tak jak poprzednio.

– Ja wiem, że moje miejsce jest w mieście.

Znowu goście rozjechali się do domów, nie ustalając nic konkretnego. Po kilku tygodniach spotkali się ponownie. Ojciec zapytał po raz kolejny, jaka jest decyzja córek.

– Najlepiej, gdybyśmy sprzedali ten dom, a pieniędzmi się podzielili – powiedziała stanowczo Alina – ewentualnie mogę go wynająć jakiejś rodzinie. Raczej nie będę tu mieszkać i zajmować się nim.

– Mogłabym tu zamieszkać, ale potrzebny jest generalny remont, a to kosztuje. Życie w mieście jest jednak bardziej wygodne – dodała Maria. Ojciec skierował wzrok na Barbarę, a ona odpowiedziała.

– Ja wiem, że moje miejsce jest w mieście.

Alina i Maria kłóciły się o to, która powinna otrzymać majątek. Gdy ojciec pytał, która zadba o dom, żadna nie chciała tego potwierdzić. Przed śmiercią ojciec powiedział córkom o nietypowych mieszkańcach. Żadna nie uwierzyła w tę historię, ale nie chcąc robić ojcu przykrości udały, że go rozumieją. Siostry nie dogadały się, a sprawa nie została rozwiązana, aż do jego śmierci.

Notariusz zaprosił je na odczytanie ostatniej woli zmarłego. Alina i Maria były pewne, że którejś z nich przypadnie spadek i będą mogły z nim zrobić, co będą chciały.

Dom przypadł Barbarze. Ojciec dopisał w swoim testamencie zdanie. „Nie ten który się waha

i gra na zwłokę, tylko ten który jest pewny swego i wie czego w życiu chce, zasługuje na to, co tak cenne dla naszej rodziny”. Barbara zamieszkała w domu na wsi, wraz ze swoją rodziną. Co rano znajdowała na swoim nocnym stoliku drobinki kurzu, ale zanim uwierzyła w historię, którą usłyszała od swojego ojca, minęło wiele lat. Domorki zadowolone z obecności życzliwych i dobrych ludzi wiodły dalej swoje spokojne, niewidzialne życie.

Pewnego razu do domu Barbary przyjechali znajomi z zagranicy. Goście bawili kilka dni, chwalać wszystko i wszystkich. Bardzo spodobała im się okolica i postanowili kupić obok działkę aby wybudować dom. Chcieli móc spędzać wakacje w miłej, wiejskiej atmosferze. Poprosili Barbarę o pomoc w załatwieniu prawnych i urzędowych formalności, bo ziemia, którą chcieli kupić i zagospodarować należała do niej. Jedną z ważnych spraw było wycięcie starych drzew i krzewów.

Barbara zamówiła firmę i ustaliła termin wycinki. Od tego momentu w jej życiu zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Zawsze uporządkowana i zorganizowana pani prawnik, znajdowała swoje dokumenty w różnych częściach domu. Porozrzucone papiery, notatki, teczki, długopisy stały się jej codziennością. Wielu rzeczy nie mogła znaleźć, inne znajdowała wciśnięte pod kanapę lub między książki. Nie pomogły prośby i pretensje do rodziny. Nikt nie chciał wziąć odpowiedzialności za bałagan, którego nie zrobił. Barbara coraz częściej zastanawiała się, co się dzieje i czy aby nie jest przepracowana. Co rano ze swojego biurka ścierała kurz, który przypominał lekki pyłek. Było go coraz więcej na innych jej rzeczach – laptopie, torebce, butach, płaszczu. Pewnego ranka znalazła na swoim łóżku decyzję o wycinie drzew pokrytą pyłkiem, którego było tak wiele, że z trudem mogła podnieść kartkę. „Skąd się to bierze?”, pomyślała i spojrzała na drzwi sypialni. Przypomniała sobie opowieść ojca o Domorkach, które mieszkają podobno w zakamarkach jej domu. Jednak według jego opowieści, tajemnicze istoty w ogóle nie ingerowały w życie ludzi. Barbara spojrzała jeszcze raz na zabrudzoną pyłkiem kartkę. Jej prawniczy, analityczny umysł odpowiedział, aby obejrzeć drzewa, które zamierzała wyciąć. Dwa rozłożyste, wysokie klony, jesion, leszczyna i brzoza rosły na ziemi, która za chwilę miała przyjąć geodetów, murarzy, tynkarzy, elektryków. Barbara wpatrywała się długo w drzewa, dotykała ich, opierała głowę o pnie i mrużyła oczy. Nad jej głową przefrunęła duża, kolorowa ważka. Usiadła na gałęzi. Barbara zobaczyła uśmiechniętą, ludzką twarz z pięknymi, kocimi oczami, niebiesko-zielony odwłok, ludzkie ręce i nogi oraz ogromne, przezroczyste skrzydła. Zamrugła powiekami, była pewna, że ma przewidzenia i oślepiło ją słońce. Ważka odwróciła się i odleciała w stronę domu.

Barbara zmieniła decyzję i postanowiła nie sprzedawać działki oraz nie wycinać drzew.

Znajomi byli oburzeni, rodzina pytała dlaczego zachowała się tak nieodpowiedzialnie

i niegrzecznie. Jej prawnicza reputacja nieco ucierpiała, bo musiała wszystko odwołać.

– Jesteś jak chorągiewka na wietrze – powiedział kiedyś jej mąż – jak ci zawieje, tak zmieniasz decyzję.

Tak samo było, gdy mówiłaś, że chcesz mieszkać w mieście. Wola ojca odmieniła Twoje zdanie i zamieszkaliśmy na wsi.

– Przeciwnie – powiedziała Barbara – jestem pewna tego co robię i wiem, co jest dla mnie ważne. Stałość i niestałość nie mierzy się podmuchem czyichś zachcianek i oczekiwań. Życ w zgodzie ze sobą to jest wartość, której żaden wiatr czy nawet wichur nie zmieni.

Opowieść o tajemniczych wążkach Barbara przekazała swoim dzieciom. Nie uwierzyli, tak jak ona kilkanaście lat temu nie uwierzyła swojemu ojcu. Barbara miała jednak nadzieję, że podejmując życiowe decyzje będą słuchać nie tylko rozumu i serca ale także niemych szeptów jej rodzinnego domu.

KONIEC